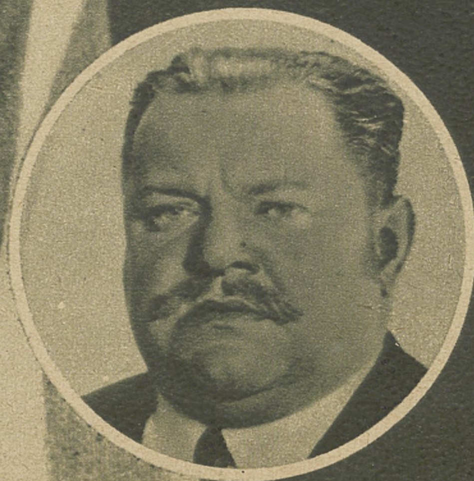
Nr. 41 Rok 4 Kraków, dnia 10 października 1943 Cena 40 gr.

Ilustrowany

POLSKI

HENRYK GEORGE

jako Manuel w filmie pt.: „Wyrok, którego nie wykonano". W roli tej uwydatnia się w całej pełni wysoki kunszt aktora, należącego do najlepszych aktorów ról charakterystycznych. U dołu zdjęcie aktora z jego życia codziennego. Henryk George jest obecnie kierownikiem „Teatru Schillera" w Berlinie, a w dniu 9-go października obchodzi swą 50-letnią rocznicę urodzin.



KUNSZT CHARAKTERYZACJI

Fot. Atlantic, Scherl.

Światowa zaraza żydowska

W Krakowie otwarto niedawno wystawę wędrowną pt.: „Światowa zaraza żydostwa". Wystawa ta, daje odpowiedź na pytanie, kto właściwie ponosi winę za wywołanie obecnej wojny. Liczne rzesze publiczności zwiedzają codziennie wystawę.

FEIND DER RELIGION
ŚMIERTELNI WROGOWIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

DAS GROSSE GEHEIMNIS
WIELKA TAJEMNICA

TAKIE JEST PRAWO ŻYDOWSKIE...

KRIEGSTREIBER
SPRAWCY WOJEN

RITUALMORDER
MORDERCY RYTUALNI

DAS JÜDISCHE GESETZ..
PRAWO ŻYDOWSKIE..

DIE ENTLARVUNG DER JÜDISCHEN LÜGE
ZDEMASKOWANIE ŻYDOWSKIEGO KŁAMSTWA

JUDENVERFOLGUNGEN ZU ALLEN ZEITEN
PRZEŚLADOWANIE ŻYDÓW WE WSZYSTKICH EPOKACH

IM SPIEGEL DER SELBSTKRITIK
W ZWIERCIADLE SAMOKRYTYKI

Wystawa wywiera silne wrażenie dzięki temu, że nie tylko uwzględnia teraźniejszość, lecz również daje możność wglądnięcia w historię przeszłości i prócz tego przytacza liczne cytaty, w których żydostwo samo zdradzało niedwuznacznie swe zamiary i plany.

Fot. Theuergarten

Fot. PK. Holzhausen-Sch., Merz, Niermann-PBZ., Kochherber-TO-EP.

Powyżej:

SAMOLOTY „STUKA" ATAKUJĄ

Eskadra niemieckich samolotów „Stuka" przed atakiem na sowieckie umocnienia na froncie wschodnim.

Poniżej:

POBOJOWISKO

Rozbite i zniszczone czołgi sowieckie po zaciekłym ataku zwycięsko odpartym przez wojska niemieckie.

Powyżej:

WALKA WŚRÓD NOCY

Niemiecka obrona przeciwlotnicza w nocnej akcji na froncie wschodnim.

Poniżej:

HYDROPLANY STARTUJĄ

Niemieckie hydroplany przed lotem wywiadowczym na Atlantyku.

DOŻYNKI W OGRÓDKACH DZIAŁKOWYCH

Tekst i Fot: Bil



Powyżej:
Z własnej działki.



Zbiór smacznych pestek słonecznikowych z „drzewka" słonecznika.

Gdy mrok zapada, pojawiają się na ulicach Warszawy ludzie, obładowani warzywami, ciągnący rozmaitego kształtu wózki z pełnymi workami ziemniaków. Spracowani, lecz zadowoleni powracają ze swymi zbiorami do domu. Są to właściciele ogródków działkowych, dla których dzień pracy teraz się kończy.

Na wzór zachodni zorganizowana akcja ogródków działkowych, znalazła również w Warszawie szeroki oddźwięk we wszystkich warstwach społeczeństwa. Dziś około 18000 rodzin korzysta z licznych dobrodziejstw tej akcji.

Przy dużym poparciu wielu oddziałów Zarządu Miasta, pod opieką RGO powiększa się grono działkowców, a nabierane doświadczenia, zwiększają korzyści materialne, zdrowotne i psychiczne ludzi, którzy myślą o swej przyszłości. Miejskie nieużytki ziemne, dzięki wytrwałej i ambitnej pracy tych pionierów stały się ostoją życiową przeszło 50 000 obywateli miasta Warszawy. Ponad 800 hektarów przynosi plon i to duży plon! Działki obejmujące powierzchnię po 500 m^2, przydzielone zostały rodzinom przynajmniej pięcio-członkowym. Przy możliwie najniższej opłacie sezonowej, otoczono działkowców opieką, przydzielając instruktorów, dostarczając nasion i rozsadników oraz środków ochronnych przed szkodnikami. Straż nocna strzeże przed niepowołanymi „wspólnikami". Bardzo dużo działkowców oblicza swój plon tegoroczny w następujących ilościach: około 5 m ziemniaków, 15 kg fasoli, 10 kg grochu, 70 kg pomidorów, 25 kg cebuli, do 2 kop kapusty. Rzodkiewek, kalarepek, pietruszki, marchewki, kalafiorów, ogórków, dyń i innych „witamin" — wystarczająco dla gospodarstwa. Plony te zaważyły poważnie na zaopatrzeniu miasta Warszawy. Sama praca na działce, nieraz ciężka i mozolna daje duże korzyści zdrowotne. Po szarzyźnie codziennej pracy, swą rozmaitością odświeża umysł i ciało. Stale nowe wrażenia Cudów Natury zaciekawiają i uszlachetniają człowieka. Niejedna działka nosi piętno nie tylko mądrej eksploatacji, lecz i dużego poczucia piękna i estetyki.



Obiad na powietrzu smakuje dobrze.



Efektowna i praktyczna aleja fasolowa.



Na grządce rzodkiewek.



Na prawo:
Obfite zbiory.



Poniżej:
Powrót z ogródka.



Poniżej:
Nawet te „olbrzymy" dynie — wyrosły na grządkach działkowego ogródka.

„Strzeżonego, Pan Bóg strzeże" — kontrola nie zaszkodzi.

OTWARCIE POKAZU ROLNICZEGO W DĘBICY









Generalny Gubernator Dr Frank rozmawia z jednym z gospodarzy.



Generalny Gubernator Dr Frank wygłosił niedawno, na otwarciu powiatowego pokazu bydła i koni w Dębicy, przemówienie, w którym wyraził uznanie dla władz wspierających wydatnie prace gospodarcze i dla ogółu ludności wiejskiej.

Pokaz ten daje przegląd wzorowej gospodarki hodowlanej w dębickim powiecie. Liczna rzesza gospodarzy, z wielkim zainteresowaniem oglądnęła wystawione bydło będące okazami rodzimego chowu w tym powiecie. Zwłaszcza chów koni stoi tu na wysokim poziomie. Również hodowla bydła rogatego, świń, owiec i innych zwierząt domowych rozwinęła się znakomicie, o czym wymownie świadczył pokaz rolniczy. W dniu otwarcia pokazu rolniczego w Dębicy odbył się również przemarsz ogierów, który dał możność licznym rzeszom zwiedzających, poznać niezwykle wartościowy materiał zwierzęcy, wspaniałej stadniny dębickiej.

Fot: Pgg.





1. ciąg dalszy

— Tutaj też trzeba by jeszcze kilka postawić — wskazywała paluszkiem miejsce przy lampie.

I sama wykapała ogromną porcję.

— O patrzaj, patrzaj — cieszyła się — jaki duży, jaki wspaniały!

— Walerta nabeszła — odezwała się lakonicznie mała Gola.

LALKA

Weszła ciocia Tunia.

Przebrała się pod wieczór i wyglądała teraz bardzo elegancko. Miała na sobie jedwabną zgrabną suknię, w białą i popielatą kratkę, przepasaną srebrnym paskiem.

— Stara pannica — krytykowała ją nieraz panna Lili — a stroi się na całego. Już to ona chętnie by wlazła tutaj na miejsce waszej mamusi, ale nie ma głupich.

— Co? Jeszcze przy kolacji? — wykrzyknęła od progu i podeszła do stołu.

— O Boże! — złapała się za głowę. — Cóż tu za brudy? Cóż za nieporządki?

Wzięła z umywalni ściereczkę i energiczną ręką anihilowała kopce dla kretów.

— Zaza! Powinnaś braciszka pilnować i nie pozwalać, by jadł jak świnka.

— Ale śpieszcie się dzieci. Późno już. Trzeba zmówić pacierz i iść spać do łóżek.

Przechodząc przez pokój pochyliła się i podniosła z podłogi sporą lalkę z oberwaną nóżką i z nadtłuczonym nosem.

— Cóż za inwalida? — głaskała ją po włosach. — Wygląda jak Napoleoński grenadier pod Waterloo . . .

I spytała się Zazy:

— Zaza, a dlaczego twoja lalka jeszcze nie w łóżeczku, a wala się pod krzesłami?

— Bo Zaza tej lalki nie lubi — objaśniał Zbyszek. — Ona kocha tamtą w niebieskiej sukience, tamtą od tatusia, a tę od mamusi bije.

— Fe! Czyż to tak można? Aż trudno uwierzyć! Zaza, czy to prawda co Zbyszek mówi? Bijesz takie niewiniątko.

— A biję.

— Więc jakaż to z ciebie mamusia?

Zaza uśmiechnęła się drwiąco.

— Nie gorsza jak wszystkie mamusie.

— Cóż to za jakieś głupie gadanie? Skąd ci się to wzięło. Wszystkie mamusie dbają o swoje dzieci. Nie biją, a kochają je. Wszystkie mamusie są dobre.

— Ale nie nasza.

I cóż na to odpowiedzieć?

Ciocia Tunia westchnęła, otworzyła szufladę komody i wrzuciła weń ową nieszczęsną, katowaną lalkę.

PACIERZ

— A teraz otrzyjcie dzieci buziaki i chodźcie na pacierz — odezwała się ciocia Tunia po dłuższym milczeniu i podeszła do łóżeczka małej Goli.

Tam, w głowach łóżka, wisiał na ścianie nieduży obrazek. Święty obrazek oprawny w metalową ramkę. Prześliczna kolorowa reprodukcja słynnej na świat cały Matki Boskiej Murilla.

Ciocia Tunia bardzo sobie ceniła ten obrazek.

Pamiątka.

Droga pamiątka po matce.

Gdy, przed dwudziestu laty, uciekała, jako podlotek, z własnego majątku na Kresach zabrała ze sobą ten obrazek, jak skarb.

Modliła się pod nim.

Przypominała sobie śmierć ojca, matki, brata . . . Zamordowani przez własnych fornali, leżeli zbroczeni krwią na pałacowej werandzie. A ona, w chłopskim przebraniu, oszalała rozpaczą i przerażeniem, uciekała . . . uciekała . . .

Ale oto teraz, po tylu latach, podarowała ten obrazek Goli na imieniny.

— Ten śliczny pucołowaty zamyślony aniołek, siedzący u stóp Bogarodzicy, taki jest do naszej Goluni podobny, więc niechaj się nią opiekuje i strzeże od złego.

Obrazek wisiał krzywo, więc prostując go wyciągniętą nad głową ręką, westchnęła i rzekła:

— Moja nieszczęsna matka też zawsze się pod nim modliła.

— Czy zanim ją bolszewicy zabili? — zaciekawił się Zbyszek.

— Ależ naturalnie — obruszyła się Zaza. — O Boże! Jakiż on głupi! Przecież zrozum, bałwanie, że jak ją zamordowali, to już nie mogła się modlić.

— Mogła!

— Nie mogła.

— Mogła.

— No dosyć już tej gadaniny. Nie sprzeczajcie się dzieci, a chodźcie tutaj i klękajcie do pacierza.

— W imię Ojca i Syna — żegnała się lewą rączką mała Gola.

I zaczęła szeptać w skupieniu: — Ojcze nasz, któryś jest...

Lecz gwałtowne pukanie w szybę okienną zelektryzowało dzieci. Pobladły z wrażenia, zamilkły i podwracały główki.

— Diabeł — szepnęła Zaza.

Istotnie. Chyba sam diabeł, we własnej osobie, dobijał się tutaj do okna. Straszny diabeł.

Za szybą widać było potwornie wykrzywioną twarz. Oczy przewrócone były białkami do góry. Paszcza otwarta. Język wywalony na brodę. Ręce, wzniesione nad głowę, sterczały jak rogi.

Siarka i ogień.

Przerażające widziadło, oświecone z wnętrza pokoju czerwonymi refleksami abażuru, wyglądało jak sam Lucyper. Jak Mefisto z Fausta. Jak zjawa z piekła.

— Boję się! Boję, boję — wybuchnęła płaczem mała Gola, wciskając się za komodę, a dwoje starszych parsknęło śmiechem.

Poznały ojca.

— Ach ten tatuś! Ten tatuś— cieszyły się klaszcząc w ręce.

Ciocia Tunia zerwała się z klęczek, jak oparzona, i wymachując obiema dłońmi w stronę okna, wołała:

— Odejdźżesz Jasiu od okna i nie przeszkadzaj. Przecież widzisz, że teraz pacierz! Też głupie figle! Idź sobie, idź.

Głowa znikła.

Ale dzieciaki tak były rozchichotane i uradowane tym niespodziewanym intermezzo, że pacierz całkiem wywietrzał im z głowy.

Kręciły się, wierciły, odwracały główki, zapominały powtarzać za ciocią słowa modlitwy. Trącały się łokciami i szeptały z zachwytem:

— Ach ten tatuś! Ten tatuś!

Kochany tatuś

„HAZET"

BONA

Stukot wysokich obcasów panny Lili dał się słyszeć.

Tup, tup, tup — tup, tup, tup — biegła szybko przez korytarz i weszła po chwili do dziecinnego pokoju, pozostawiając poza sobą otwarte drzwi.

— Drzwi — odezwała się ciocia Tunia bardzo szorstkim głosem. — Chyba pani wie, że teraz nie lato. Tylko królowie i psy drzwi za sobą nie zamykają, więc proszę zamykać drzwi.

Dzieci ze zdumieniem spojrzały na ciocię. Cóż się jej stało? Ona była zwykle taka łagodna, taka uprzejma, taka grzeczna.

A panna Lili zatrzymała się wahająco na środku pokoju, wzruszyła ramionami z niecierpliwością, nawróciła po chwili, zamknęła drzwi z ogromnym hałasem i podeszła do stołu.

— Zmarzłam w gnat — narzekała, ściągając rękawiczki. — Nie dla mnie takie spacery. Mróz piekielny. Cała zdrętwiałam . . .

Krzywda

Do wątłej piersi tulę wszystko co mnie otacza.
Chodzę pomiędzy ludźmi, z cichym uśmiechem: bra-
[cia!
Gładzę drzew szorstką korę, całuję usta kwiatów.
Obłąkane z radości serce pod dziurawą kołacze
[szmatą.
Uwieńczony zielskiem kwitnącym, opleciony pną-
[czami bluszczu,
Noszę słońca złoty słonecznik, przy dziurawym
[swym kapeluszu.
Noszę niebo w spłowiałych oczach. Nieustanny,
[promienny zachwyt!
Moje szczęście: szkiełko przeźrocze . . . ptasie pió-
[ra . . . czerwone skrawki . . .
Od wsi, do wsi wędruję boso. —
Gdzież ty idziesz? —
Gdzie nogi niosą! —
W chmurze pyłu śpiewam i tańczę.
Dzwonią, brzęczą u pasa różańce. —
Do spękanych ust wieczny śmiech przywarł.
Och, jak cieszy . . . jak bawi mnie wszystko!
Przypatruję się żabom w wodzie . . .
Szeleszczącym na wierzbie listkom . . .
Pstre papierki zbieram po drodze — roztrwonioną
[bezmyślnie radość —
I spoczywam przy każdej studni, otoczony dziewcząt
[gromadą,
W zenit szczęścia, w rozkosz bez granic, do siódme-
[go wstępuję nieba,
Gdy pod płotem, łakomie gryzę suchą kromkę czar-
[nego chleba. —
Nagle śmiech się łzami załamał . . .
Świat na barki opadł, jak brzemię!
Czemuś kazał — bracie — o — bracie! —
Dziecku rzucić na mnie kamieniem?

Ewa Moriarti

Lecz widać tego po niej nie było. Przeciwnie. Miała palające jakby gorączką oczy i silne czerwone wypieki na policzkach.

Zbyszek uczepił się jej palta.

— Gdzież pani była z tatusiem? Gdzież pani była? — dopytywał się natarczywie.

— Puszczaj! Cóż za nieznośne chłopaczysko. Nudny, natrętny! Mówię ci odczep się ode mnie.

Podeszła do lustra, wiszącego nad komodą, zdjęła kapelusz i nastroszała nad czołem swą wysoką fryzurę.

Mówiła:

— Byliśmy najpierw na folwarku, a potem w lesie. Droga zawiana, ale tak tam teraz prześlicznie, że warto obejrzeć. Choinki wyglądają jakby przystrojone na Boże Narodzenie. Srebrzą się całe.

— I co jeszcze — przysłuchiwały się dzieci z zainteresowaniem.

— Widzieliśmy jelenia. Wasz tatuś chciał strzelać, ale mu nie pozwoliłam. Boję się strzałów i nie lubię widoku krwi.

I zrzucając z siebie przyprószone śniegiem okrycie, zwróciła się do Zazy:

— Bierz! I powieś na wieszaku w korytarzu.

Lecz ciocia Tunia zaoponowała gwałtownie. — Zostaw.

— Zostaw.

I zwróciła się do bony

— Co u pani w głowie? To nie jest robota dla Zazy.

— Korona jej z głowy nie spadnie.

— Być może. Ale w korytarzu zimno. Zresztą dyskutować z panią nie mam zamiaru. Po prostu nie życzę sobie żeby się pani Zazą posługiwała.

— Jędza — mruknęła panna Lili pod nosem i z miną obrażonej królowej weszła do swego pokoju.

GAJOWY

Po silnych mrozach nadeszły roztopy.

Śnieg tajał w oczach. Woda, woda, wszędy była woda. Spływała zewsząd kaskadami. Rowy były przepełnione, rzeka wylała, stawy nie mieściły się w swych łożyskach. Kałuże, wielkie, jak morze, na drogach. A także napotykało się głębokie wyrwy wygryzione przez strumyki, które z niesłychaną szybkością i hałasem śpieszyły z pagórków w dolinę. Ozimina zieleniła się już na polach, a powietrze pachniało wiosną.

Nawet krokusa znalazła Zaza pod płotem.

Spacer.

A dzień był jasny. Słońce silnie świeciło. Oślepiało blaskiem. Oczy bolały. Zdawało się, że nigdzie, nigdzie nie widać już cieniów.

Pozostały gdzieniegdzie śnieg skrzył się jak diamenty. Mienił się jak skarb drogocenny. Dzieciaki, w swych czerwonych berecikach i szubkach, wyglądały jak swawolne krasnoludki.

Dwoje starszych biegło przodem, pozostawiając pannę Lili i Golę daleko poza sobą.

Chwilami Zaza pochylała się nisko i lekkimi dotknięciami swych małych paluszków zgarniała topniejący śnieg. Brała go do ust.

— Lody! Lody — przypominała sobie smak swej ulubionej leguminy.

Lubiła łykać śnieg.

Dzieci spotykały fornali i wieśniaków. Śpieszyli na pola z pługami, z bronami, z workami. Byli tam i piesi, byli i na wozach. Były też i kobiety. Podkasane wysoko śpieszyły po gałęzie do lasu.

— Niech będzie pochwalony . . .

Pozdrawiały uprzejmie pańskie dzieciaki.

Bona — modnie ubrana w maleńki dziwaczny kapelusik podobny do wywróconej dnem do góry sosjerki i wymalowana jak obraz — nie była zadowolona z tych spacerów.

— Nudy i brudy — narzekała na błoto i obiema dłońmi opędzała się od psów podwórzowych, które zwykle towarzyszyły dzieciom.

— A pójdziesz! A pójdziesz! — skrzeczała. — Cieszą się. Skaczą na mnie zabłoconymi łapami i niszczą mi odzienie.

Chwilami, podniesionym głosem, zwracała się do Zbyszka.

— Ty urwisie zatracony — darła się gniewnym tonem. — Zabraniam ci najsurowiej babrać się w bajorach. Też świnia. Wyłaź mi natychmiast, a nie usłuchasz, to popamiętasz.

Ale chłopczyk nie wiele sobie robił z tych zakazów. Miał na nogach gumowe nieprzemakalne botki z wysokimi cholewami, więc uważał za szczyt przyjemności wlazić do każdej napotkanej po drodze kałuży.

Nagle Zaza podskoczyła z radości i puściła się całym pędem w stronę zagajnika.

— Tatuś! Tatuś! — wrzeszczała.

Dostrzegła ojca.

Był konno.

Wyprostowany i piękny siedział na swej wspaniałej kasztanowatej klaczy Otero i rozmawiał z gajowym.

— Namyśl się — mówił do niego. — A zobaczysz, że nie pożałujesz. Dziewczyna ładna i pracowita.

Namawiał go na ożenek z poprzednią pokojówką Tereską.

Polana na której rozmawiali, otoczona była dębami i brzozami. Śnieg leżał tu jeszcze dużymi kupami, wyglądającymi jak groby, a stada wron — z ogromnym krakaniem — podfruwały i tu i tam. Wzbijały się w górę, siadały na wierzchołkach drzew i kołysane wiatrem bujały się zapamiętale w tę i w tamtą stronę.

Gajowy, Szymon Pazdurski, stał przed dziedzicem z czapką w ręku i chytrze spozierał na niego spode łba.

Nie pewny to był człowiek. Czterdziesto paroletni wdowiec, opinię miał we wsi jak najgorszą. Mówiono, że drzewo z pańskiego lasu sprzedaje cichaczem na własną rękę, a także tępi zwierzynę w sposób niedozwolony.

Złodziej i najpierwszy kłusownik na całą okolicę.

A gdy owdowiał końca nie było plotkom.

— Uśmiercił! Zakatował! Przetrącił!

Nieboszczka pozostawiła mu na pamiątkę sześcioro dzieci, o które wcale nie dbał. Dzikusy. Na wpół nagie i wiecznie głodne uganiały po lesie jak małpy.

— Chociażby przez wzgląd na dzieci powinieneś ożenić się powtórnie — mówił pan Jan, ale Pazdurski ciągle potrząsał głową przecząco.

A był to człowiek potwornie brzydki. Orangutan z guzem wielkości jabłka na wyłysiałej czaszce. Zajęcza warga i krzywe nogi dopełniały całości.

W głębi serca Szymon bardzo był rad z propozycji pana dziedzica. Jeszcze za życia żony Tereska wpadła mu w oko. Podkochiwał się w niej. Nieraz nocami zakradał się pod dwór i ukryty w klombie podpatrywał dziewczynę, lecz udawał teraz, że nie ma zamiaru się żenić.

Najwidoczniej drożył się. Chciał jak najwięcej wyciągnąć z dziedzica.

Wykrzywił swą szpetną twarz, podrapał się w głowę i rzekł:

— Et! Co mi tam po takiej żonie. Dyć ludzie powiadają co una jest okrutne ladaco.

PORWANIE SABINEK

Na krzyk Zazy panna Lili rozejrzała się wokoło i przystanęła na miejscu. Szybko wydostała z kieszeni lusterko i pomadkę do ust. Przykarminowała wargi w kształt serca, poprawiła kapelusik na głowie i ruszyła naprzód przyśpieszonym krokiem.

— Plosę pani, plosę pani — darła się za nią zapomniana Gola.

No i wkrótce spacerująca gromadka otoczyła pana Jana.

— Tatusiu! Tatusiu! Niechżeż mnie tatuś weźmie na konia — napierał się Zbyszek.

— Ejże! Ot, czego się to smarkaczowi zachciewa. Klacz jest dzisiaj bardzo niespokojna. Zdenerwowana. Czuje wiosnę w powietrzu. Kręci się, staje dęba, wierzga, więc będziesz się bał.

— Nie będę się bał. Nigdy się nie bałem. Nawet wtedy, jak mnie Walerka zgubiła w piwnicy. Ja się niczego nie boję — chwalił się malec.

— No to chodź.

Gajowy skoczył pomagać. Podsadził chłopczyka, a ojciec,

ujmując go silną ręką, posadził na siodle przed sobą i pogalopowali na zbity łeb.

Powrócili niebawem.

— I mnie i mnie niechżeż tatuś przewiezie — prosiła Zaza, składając błagalnie rączki. — Ja także chcę z tatusiem pogalopować!

— No to siadaj!

Ruszyli z kopyta.

W trakcie tego, Pazdurski, który dobrze wiedział, że jest postrachem dla wszystkich małych dzieci, zaczął wybałuszać oczy na Golę i wykrzywiać się do niej w sposób odrażający.

Straszyć dzieci bawiło go niesłychanie, więc przytupywał nogami na miejscu, głaskał się po żołądku, wydymał swą zajęczą wargę i odgrażał się, że dziecko pocałuje.

— Nie fcę! Nie fcę — protestowała dziewczynka i kryła twarzyczkę w fałdach spódnicy bony.

Rozbeczała się po chwili.

— Proszę mi dziecka nie straszyć — zirytowała się panna Lili. — Też dureń . . .

— A panna niechaj będzie dla ludziów grzeczna — skarcił ją ostro i mruknął półgłosem. — Nie takie tam wymalowane czupiradła będą nade mną przewodziły.

Ale bona udała, czy też istotnie nie dosłyszała tego co mówił. Pochyliła się nad rozbeczaną dziewczynką i pocieszała ją obietnicą przejażdżki z ojcem.

— Nie placz. Nie płacz — mówiła — a tatuś weźmie cię na konia.

Więc jak tylko pan Jan powrócił z Zazą zwróciła się do niego:

— Niechżeż pan teraz Golę bierze.

— Ani myślę — wzruszył ramionami. — Mam już dosyć tych harców. Zresztą ona jest jeszcze za mała na takie przejażdżki. Gotowa się rozchorować.

Uśmiechnął się czarująco i dodał.

— Ale czy by tak panna Lili nie chciała się przetrząść?

I wyciągnął do niej rękę.

— Ależ za nic w świecie. Boję się, boję — piszczała histerycznie. — Pan taki nieostrożny! Taki wariat. Ładnie bym wyglądała. Jeszcze gotowam kark skręcić.

— Przysięgam, że w całości odstawię panią na miejsce.

— Nie wierzę. Nic panu nie wierzę. A czy będzie pan grzeczny? — wygrażała mu palcem.

— Jak najgrzeczniejszy. Ja zawsze jestem grzeczny.

— Czy tak jak wtedy na sankach?

Ale dzieci zaczęły się niecierpliwić.

— Jazda! Jazda — wrzeszczały podskakując na miejscu. Uradowane były z tego projektu.

— Niechżeż się pani nie boi — mówiła Zaza. — To nie jest nic strasznego.

Więc znowu gajowy dopomógł bonie wsiąść.

— Uszczypnął mnie — wrzasnęła przeraźliwie.

Mścił się za niegrzeczne słowo

A pan Jan, ujmując ją w objęcia, roześmiał się.

— Porwanie Sabinek — mruknął przez zęby i znikli po chwili z oczów.

A długo, długo, nie powracali.

— O mój Boże! Może im się co stało— niepokoiła się Zaza, chuchając na zziębnięte rączęta małej Goli, a Zbyszek robił sobie nadzieję, że tatuś zepchnął gdzieś pannę Lili do jakiej głębokiej kałuży.

— Ja bym ją zepchnął — odgrażał się.

Zawsze był na wojennej stopie ze swymi bonami.

TERESKA

Po powrocie ze spaceru panna Lili bardzo rozczochrana po swej przejażdżce, ruszyła do swego pokoju, a dzieci zabiegły do oficyny i wpadły do czeladnej kuchni.

Gorąco tam było.

Kucharka, Magda, krzątała się przy rozpalonym piecu chlebowym. Z długim ożogiem w garściach wkładała weń spore bochenki razowego chleba, a równocześnie rozmawiała przez ramię z jakąś szczupłą młodą kobieciną.

— Nie trap się — mówiła. — Trudno. Nie ty pierwsza i nie ty ostatnia. Jeńszym dziewuchom też się zdarzało.

Kobieta, pohuśtując w ramionach owinięte w kraciastą chustkę niemowlę, siedziała na pace z węglami. Długie ciemne rzęsy ocieniały jej oczy podobne w kolorze do chabrów. Ładna była bardzo, lecz wymizerowana, z zapadłymi policzkami, nędzna, nachmurzona, obdarta.

— Nie pocieszaj mnie — mówiła do Magdy. — Nic mnie już nie pocieszy.

— To się tak mówi. A po roku, po dwóch nawet nie będziesz pamiętała swego zmartwienia.

Zbyszek na widok tej kobiety, klasnął w dłonie i rzucił się do niej z okrzykami radości.

— Tereska! Tereska! — wrzeszczał jak najęty

Poznał w niej, bardzo lubianą przez dzieci, poprzednią pokojówkę.

Gdy nadeszła chwila, że musiała iść do szpitala dzieci zalewały się łzami i nie rozumiejąc o co chodzi błagały tatusia i cioci Tuni, żeby jej nie wypędzali.

— Ależ my jej wcale nie wypędzamy. Ona sama nie chce tutaj pozostać — tłumaczyła ciocia Tunia..

No i odeszła.

A teraz, teraz, jak tylko ją Zbyszek poznał, chciał się jej rzucić na szyję, lecz odepchnęła malca od siebie szorstkim ruchem.

— Odstąp — burknęła gniewnie. — Ja tam nie mam tera głowy na cackanie się z wami!

Dzieci bardzo były stropione tym przywitaniem.

— Co ci się stało, Tereska — dopytywała się Zaza. — Dlaczego jesteś taka wychudzona? Taka mizerna? Dlaczego jesteś taka dla nas niedobra?

— Bo me już wszyćko kością w gardle stanęło . . . ale co będę gadać . . .

Niemowlę zaczęło kwilić.

— A co ty tu masz pod chustką — zaciekawił się Zbyszek — Czy może kociaka?

— A juści — parsknęła śmiechem kucharka. — Nie kociak to, a maluchna córeczka.

I namawiała Tereskę.

— Pokaż ją, pokaż. Nie wstydaj się głupia.

— Et . . .

— No, nie upieraj się. Taka śliczna, tłuściuchna córeczka, zupełnie do naszej małej panieneczki, Goluni, podobna . . .

Tereska niechętnie uchyliła szmalę i starsze dzieciaki zajrzały do środka.

Zobaczyły coś sinego, łysego, pomarszczonego, skrzeczącego jak żaba, więc wykrzywiły się z niesmakiem.

— Taka paskudna — mruknął Zbyszek.

Dalszy ciąg nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Historia pewnego wywiadu

Zapoznał ją bez trudu, z taką łatwością z jaką kupuje się papierosy lub pije oranżadę w skwarne południe.

— Kim pan jest? — spytała, gdy szli do najbliższej stacji taksówek.

— Człowiekiem, który nigdy nie rezygnuje z przygody — odparł z uśmiechem, a po chwili dodał:

— Marek Rosen, dziennikarz.

Skinęła głową pytając o nazwę redakcji.

— „Le Temps" — rzekł z odcieniem dumy.

W przytulnej garsonierze Marka, zapaliła papierosa.

— Bardzo jestem zakochany?

— Bardzo!

Usta miały smak rozkwitłej moreli i paliły jak betel. Rosen stracił świadomość czasu i miejsca. Jedyną rzeczą jaka zachowała realne kształty były wargi pięknej cudzoziemki.

Zmiękczając spółgłoski, mówiła.

— Kocham cię, mój Marku.

*

Był ranek. Marek szybko ubrał się, zagotował czekoladę i podał klosz z ciastkami.

Odmówiła śniadania. Na pożegnanie powiedziała swą zabawną francuszczyzną.

— Do widzenia, mój drogi, może jeszcze zobaczymy się kiedy.

*

Rosen pędził autobusem aż na Plac Bastylli, skąd wąskim przesmykiem ulicy dotarł do redakcji „Le Temps".

Na biurku piętrzył się stos papierów a zegar obojętnie wskazywał dziesiątą minut sześć.

Dziesiąta czterdzieści przychodził ekspres berliński; jedenasta dwadzieścia musiał już być na maszynie wywiad z przybywającą tym pociągiem słynną śpiewaczką Agnes O'Coley.

Marek Rosen szybko biegł, szukając wolnej taksówki.

*

Pociągi przybywające na Dworzec Północny miały tę właściwość, że spieszyły z odejściem a opóźniały przybycie. Marek był więc na stacji o dziesięć minut zawcześnie, tyle bowiem wynosiło sygnalizowane opóźnienie ekspressu. Dano znać, że Agnes O'Coley wyjechała z Berlina trzy dni temu, i że wsiadła do ekspresu ze stacji oddalonej od stolicy o trzydzieści kilometrów.

Marek Rosen, doskonały dziennikarz i nasz stary znajomy, — stracił nadzieję uzyskania wywiadu. Pociąg hałaśliwie wpadł na stację i natychmiast tłum dziennikarzy otoczył wagon wiozący sensacyjnego gościa.

Marek stwierdził z satysfakcją, że nikt nie zamienił nawet jednego słowa z artystką; — wszyscy pozostali na peronie patrząc na szczelnie zamknięte drzwi salonu recepcyjnego.

Nagle na peron wbiegł urzędnik kolejowy wołając:

— Wywiad tylko dla „Le Temps"!! Który z panów, proszę . . .

Rosen nim poruszył się z miejsca doznał miłego uczucia, że wszystko wokół się śmieje, a niewzruszoną pozostaje jedynie uśmiechnięta twarz naczelnego redaktora i zwitek banknotów w wyciągniętej dłoni.

*

Przyjęła go tak uprzejmie jakby był ministrem Kultury i Sztuki.

— Poznał mnie pan?

Nie trudno było poznać kochankę z minionej nocy.

— Incognito przyjechałam do Paryża. Dziś rano zdążyłam autem „odsadzić się" o 30 kilometrów, złapać expres i nie zrobić czekającym panom dziennikarzom zawodu.

Wywiad z Agnes O'Coley, znakomitą śpiewaczką, ukazał się w „Le Temps" zajmując dwie szpalty na stronie tytułowej.

Em-Ir

OPORNA ZAKĄSKA

M. A. HESSEL

Szeroko rozwiała się lipa. Upojnie pachniała kwitnięciem, nad którym od świtu uwijały się brzęczące roje.

W upalne letnie południa, gdy słońce nie pozwalało po prostu chwycić tchu, a cała przyroda zdawała się popadać w ciężkie omdlenie — przyjemnie leżało się na łożaku pod ową lipą. Słodki jej cień osłaniał troskliwie, a delikatny powiew, szemrzący śpiewnie wśród gałązek, bez wątpienia ukołysałby do snu, gdyby dało się zasnąć w obliczu bławatowego aż nieba, rozpiętego jak jedwabna draperia nad światem przecudnie zielonym. Zresztą tak czy tak nie dałoby się zasnąć przy dyskretnym, ale monotonnie natrętnym pobrzęku pszczół. Tłum złocistych malutkich gości zbyt często plątał się przy twarzy, niemal zanurzonej w opadające dość nisko gałęzie starej i olbrzymiej lipy. Czasami przewinął się nieznośnie tuż nad uchem hałaśliwy bąk, hucząc jak mikroskopijny samolot w zmartwiałej ciszy; czasami znów bezszelestny motyl przeraził wpatrzone gdzieś oczy nagłym przelotem. Wszystko to wplatało się w kwitnące gałęzie lipy.

Była to znakomita pozycja obserwacyjna, punkt, z którego wybornie widać było wszystko wokół. A więc dziedziniec przestronny, otwarty, jasny, — na środku studnia, w kamiennym korycie lśniła woda, ściekająca powolnymi kroplami, a nadmiar jej odpływał, z cichusieńkim źródełkowym szelestem, przez rynsztok starannie obetonowany. Budynki gospodarskie, pola za budowlami, łąka, zagony, a za nimi „młynówka", całkiem spora rzeczułka, pluskająca dźwięcznie podskakującą na kamieniach wodą. Miejscami zakrywały ją nisko opadające nad nurtem olszyny. Za ową młynówką błonia, a tuż za błoniem — najcudniejszy cud tej ziemi, bez którego świat nie miałby uroku, a życie sensu: l a s ! — seledynowy o świcie, a liliowy o zmierzchu, albo nieruchomo i hardo wbity w błękit, albo rozchwiany, falisty i miękki, rozfalczony wierzchołkami drzew po białych obłokach.

Jakby jeden z tych obłoków spadł i rozsiadł się na ziemi, widniało zawsze w którymś z obrazów oglądanych spod lipy, coś białego skupionego. Albo na błoniach, albo przy zagonach, na dziedzińcu, za domostwem, albo po prostu — najczęściej i najpewniej! — na młynówce, jaśniała wdzięcznie, ruchomo lub nieruchomo, ta śnieżno-biała plama. Podglądanie tej plamy, skupionych żywych kłębków było moją namiętnością, a było ich — tych k a c z e k — czternaście!

Wiodły swój koczowniczy, a niezmordowanie żarłoczny, żywot między gospodarskim obejściem i młynówką, wałęsając się bezustannie w łakomej wędrówce za czymś do przełknięcia . . . Poza tym jeszcze wokół zabudowań gospodarskich było mnóstwo zakamarków, kawałków ziemi porosłej chwastem i dżunglą pokrzyw, były płoty, płotki i opłotki. Tedy pod płotami i opłotkami, na dziedzińcu, przy studni i — ach!! — rynsztoku, w chaszczach i pokrzywach, a czasami het, daleko za młynówką na błoniu, — leżały albo sunęły krok za krokiem ciężkie, poważne . . . i wieczyście głodne. Zawsze razem, jakby je kto skleił ze sobą. Ani jedna sztuka nie oddzielała się nigdy od stada. Tu, czy tam, tkwiły jedna przy drugiej, tłuste, zadowolone, kwaczące z cicha lub głośniej zależnie od mnóstwa okoliczności. Czemże były ich życie niefrasobliwe i białe? Bezustannym połowem glist, ślimaków, muszli, wodnych żyjątek na które — pływając po młynówce — rzucały się z nagła jak piorun, wodorostów, liści, zielonych naci, jagód itp.

Gdy tylko dostrzegły z dala Agatkę, piętnastoletnią dziewuszkę gospodarzy, zdążającą ku nim z koszykiem sałaty, zrywały się do radosnego biegu naprzeciw. Kwacząc w niebogłosy gnały z rozłożonymi skrzydłami, wachlując nimi gwałtownie dla spotęgowania szybkości, przy czym przewalały się z boku na bok i przewracały w niezdarnym pośpiechu, formalnie gubiąc za sobą nogi i skrzydła, a nierzadko migając kozły. Dopadały wreszcie do Agatki. Z szybkością nigdy nie zrozumiałą dla kogoś, co nie widział tego na własne oczy, znikały zielone liście, a bieluchne taś-lasie zmiótłszy z powierzchni ziemi wszystko, co podpadło pod dzioby, przekręcały głowy na bok i strzygąc bystro w górę czarnymi paciorkami oczek zdawały się pytać:

— Jakto? Już?? To wszystko . . . Chyba żarty . . .

I osłupiałe z oburzenia długo jeszcze stały w miejscu po odejściu Agatki, zanim oddaliły się gdzieś z determinacją . . .

Co zrobią — jeszcze niewiadomo! Można by popływać trochę . . . Albo dać nura w liście buraków, dopóki nie zauważą i nie przepłoszą . . . Nie od rzeczy też byłoby po prostu usiąść na trawie bliziutko jedna przy drugiej i zdrzemnąć się nieco . . .

Położyły się oto — i leżą!

Leżą niedaleko, tuż prawie za otwartą furtką z dziedzińca, nieco z boku, mając przed sobą dżunglę pokrzyw. Biały obłok na dole leży nieruchomo, a biały obłok u góry płynie zwolna, rzucając cień na ten leżący . . . A potem cień umyka, przesuwa się dalej, na trawę, na drzewa, wreszcie ginie, — więc biel bijąca z ziemi oślepia znowu. Czasem poruszy się któraś, pomuska dziobem puch na piersiach, albo spojrzy od niechcenia dokoła — i znowu wtula dziób w pióra, albo gibkim odruchem zawija głowę pod skrzydło. I śpi . . . Jest cichusieńko, ciężko, jasno i skwarno, choć słońce dawno już opadło na bok i oto prześwieca przez jabłonie, obciążone pękami zielonych owoców. Poruszają się delikatnie listki na jabłoni, poruszyły się nieco trawy, zatrzepotała z nagła jakaś pokrzywa. Pewnie też wiatr. Ale czemu tylko jedna? O, po raz drugi! wyraźnie zachwiała się, a zaraz potem druga tuż koło niej, potem trzecia, potem drgnęła następna.

Kaczki nagle podniosły głowy. Czyżby i je zaintrygował dziwny wiatr w pokrzywach?

Nagle zerwało się coś oślepiającego, zawirowało przy ziemi i runęło lawiną w gęstwinę pokrzyw.

— Co się stało? —

Toczy się formalna bitwa. Kaczki tłoczą się, kotłują w jednym i tym samym miejscu, skaczą, fruwają, tratując pokrzywy i siebie nawzajem. Jedna i ta sama para skrzydeł to jest górą, to znów dołem, by za chwilę wywindować się po białych ciałach, a w następnym momencie zapaść się znów. Zdziebły, przyduszony kwak wyrywał się od czasu do czasu z jakiejś kaczej piersi, przygniatanej bezlitośnie tuzinem innych piersi.

Białe pierze wzbiło się w górę i poczęło wirować nad pokrzywami, które dygotały, chwiały się, trzęsły, gięły — i złamały wreszcie, padając wśród chrzęstu skrzydeł.

A oto nagle jedna z kaczek poczęła wycofywać się z pola bitwy, wypinając ku słońcu przeciwległą głowie część ciała, i z trudem uwalniając od ucisku jeden centymetr korpusu za drugim. Wreszcie udało się! Była wolna! Pozostawiając rzucające się opętańczo stado odbiegła pospiesznie, wpadła na dziedziniec i oddalała się wciąż tym chyżym charakterystycznym krokiem, znamionującym, że czuje za plecami pościg. Ale walczące kaczki dość długo nie zauważyły zdrady, więc dezerterka czując i słysząc, że nie jest ściganą, zatrzymała się wreszcie opodal. Stanęła szeroko, mocno! Coś zwisało jej z dzioba, wydłużone i nieruchome, ciemne.

Spojrzałam uważnie... jeszcze uważniej...

— Nie! Nie mylę się!! — ż a b a!

Przez chwilę kaczka stała nieruchomo, dysząc. Jej biała puszysta pierś, zmęczona walką a potem zwycięską ucieczką, falowała, wzdymając się i opadając. Ale w czarnych oczkach był zachwyt i radosne oczekiwanie.

Nagle wyprężyła szyję i przełknęła forsownie — ale oto w tej samej sekundzie żywa zakąska, pilnie strzegąca swej mizernej jaźni, błyskawicznie rozkraczyła nogi na boki i zaczepiła się nimi, jak hakami, z obu stron dzioba.

Kaczka zdumiała . . . Oczki jej strzeliły niedowierzaniem i bystrym niezadowoleniem. Nie mogła w pierwszej chwili zmiarkować, co uniemożliwia jej połknięcie znakomitej zdobyczy. Przyczaiła się więc, przeczekała chwileczkę cierpliwie. Żaba za ten czas wyprostowała nogi. Wyciągnięte żałośnie, sterczały przed dziobem kaczki jak cienkie patyki.

Kaczka wciągnęła powietrze, znienacka zamierzyła się mocno gardłem — żaba znów rozkraczyła się i stała w gardle z uporem, nieprzełknięta.

Taś-taś poczęła się niepokoić. Raz za razem przełykała forsownie, za wszelką cenę, kiwając głową bezustannie, jak żyd przy pacierzu! — na nic! W ostatniej chwili coś uniemożliwiało smakołykowi miękkie prześlizgnięcie się przez przełyk, zatrzymując go w dziobie.

Na dłuższy dystans sytuacja taka dla taśtasi była nie tylko przykra, ale zaczęła być i męcząca. Pojęła wreszcie całym swym szelmowskim kaczym sprytem, że żaba się broni. To ją oburzyło, ale uczuła też niepokój i podniecenie. Tym bardziej, że oto towarzyszki jej zorientowane nagle, że przedmiot pożądań ulotnił się, zaniechały niepotrzebnej walki — i teraz dopiero zauważyły triumfatorkę, rozstawioną szeroko na pletwach i usiłującą coś przełknąć, a więc w pozycji, która nawet w kaczym matołku nie mogła budzić żadnych wątpliwości . . .

Ruszyły więc gremialnie, piastując w małej głowie wielki plan: wydrzeć!

Rozpacz zwyciężczyni doszła do zenitu. Poczęła dławić się, gdyż drażniony tkwiącym w gardle przedmiotem przełyk począł domagać się usunięcia dławiącego obcego ciała. Kaczka natomiast zdecydowana była raczej paść trupem, niż wyrzec się znakomitego specjału, zdobytego straszliwym trudem i uniesionego tak podstępnie w bezpieczne miejsce.

Więc poczęła znowu zmagać się rozpacznie ze swym łakomstwem i desperackim uporem żaby. Oczka jej wytrzeszczyły się żałośnie strachem i poczęły łzawić ze zmęczenia. Mięśnie zaciskające dziób omdlewały z napięcia i poczęły tracić siłę. Istotnie — jęły rozluźniać się, boleć, rozdzierać . . . Dziób zaciśnięty nad ciałem zdobyczy, nagle otworzył się szerzej, wolno, miękko.

Oddział, żądnych odwetu wojowniczek, otoczył ją w krąg. Żaba, wykorzystując rozluźnienie się uchwytu dzioba, raptownie wyprostowała nogi, gotując się do skoku na ziemię — i w tej samej chwili kaczka, pewnie przypadkowo, przełykając ślinę, wciągnęła ją ruchem mięśni w głąb . . . Żaba skoczyła prosto . . . w straszną ciepłą czeluść i stoczyła się na dno, które porwało ją natychmiast w gryzące, mordeczne skręty.

Kaczucha skamieniała z rozkoszy i niedowierzania. — Już? . . . Miała bardzo głupią minę (a reszta kaczek jeszcze głupszą . . .), gdy przechyliła łebek na bok, jakby nadsłuchując, a czarne jej oczki perliły się złośliwie i pytająco. Zadowolenie — rozkosz — niewysłowiona radość życia — zdawały się po prostu rozsadzać jej śnieżne piersi.

Kwaknęła z cicha, a rozumnie... raz, drugi, trzeci. Nagle zawróciła „piorunem"! Gdzie?!? Aż podnieść się musiałam, by spojrzeniem nadążyć za nią:

Pospiesznym truchcikiem przybiegła do kamiennego koryta pod studnią i — zatopiwszy dziób w jego wnętrzu — poczęła zapojać się na śmierć wyborową czystą . . . Czystą! Najczystszą!! . . .

KAPRYSY DŁUGOŚCI ŻYCIA

FENOMENY 156 i 168-LETNIE

Statystycznie biorąc, długość życia ludzkiego, gdy wyeliminujemy oczywiście z obrachunków klęskę wojen, wzrosła w Europie w wieku XX do czterdziestupięciu lat przeciętnie.

Jak to? Tylko czterdzieścipięć lat? Brednie! Nie. To fakt. Mówimy przecież o przeciętnej wykresowej statystycznych obliczeń. W wieku poprzednim statystyka taka stawała na przeciętnej cyfrze długości życia, czterdziestu.

Więc?

Dowodzi to, że „przeciętny kres" przesunął się o lat pięć dalej, że wiedza i postęp, wynalazki w sposobach walki z chorobami, wzrost hygieny i inne czynniki wydarły zaświatom jeszcze tych pięć lat na ludzki użytek.

Tylko pięć lat! Jak mało.

A jednak, w epoce jaskiniowej lampa życia ludzkiego gasła przeciętnie na trzydziestym roku życia, jak uczą wykopaliskowe szczątki szkieletów naszych antenatów.

Czyli, że za taki okres dziejów ludzkości, jedynie piętnaście lat stać ma wpisanych na „dobro" naszego rachunku istnienia?

Niestety — tak.

Jakkolwiek w wiekach dawniejszych wyżej wymienione zdobycze postępu, kultury i cywilizacji nie istniały, albo dopiero stawały się zdobyczą codziennego życia z jego uwszechstronnianiem w znaczeniu otrząsania się z przesądów i dziwacznych często na wszystko zapatrywań, to przecież fenomeny żyjące się „bez kresu" spotykamy i w owych czasach.

Jednym z ludzi „w trzech stuleciach żyjących" był niejaki Franciszek Hupardj.

Urodził się on w roku 1587 w Casale, na terytorium sardyńskim, a umarł w r. 1702!

Z początku był duchownym, a następnie od roku osiemdziesiątego swego życia mieszkał na Scio w charakterze konsula weneckiego.

Z pięciu (!) małżeństw miał epokowy ten człowiek dwadzieściacztery dzieci, dowodząc — że mógł mieć daleko więcej, gdyby nie okresy żałoby, nowych konkurów itp. interwałów małżeńskiego stanu.

Pijał wodę jedynie, tytoniu nigdy nie palił, a jadł jedynie dziczyznę i owoce. Używał też chętnie jako napoju soków z drzew(?)

Żył nadzwyczaj regularnie. Wieczorem nie przyjmował nigdy żadnego pokarmu, kładł się bardzo wcześnie, podobnie wstawał. Szedł do kościoła, potem nieco zażywał przechadzki i następnie pracował.

W 22 tomach spisał wszystkie osobliwości jakie mu się wydarzyły w ciągu tak długiego życia. Lekarstw nie znał „nie wiedział co to gorączka, ani nigdy „krwi nie upuszczał".

W setnym roku życia lekko robił jeszcze po 4 mile drogi bez spocznienia. W roku stodziewiątym stracił zęby, ale w cztery lata później dwa nowe mu odrosły, więc znowu mógł jeść mięso. (Tak podaje w swych zapiskach).

Choć pewnie wśród wieków podobne arcyosobliwe okazy istniały w bardzo szczupłych ramach, to przecież kaprysy natury dawały przykłady długowieczności, bardzo oddalające się od „obowiązującej statystycznie" czterdziestki!

Takie dziwolągi długowieczności zebrał i opisał żyjący za czasów saskich Mikołaj Rączyński, a oto one:

„Wodopit", Mikołaj Radziwił, podążył od patres roku żywota swego setnego, faktycznie nie uznając do ostatniego tchnienia innego trunku nad wodę.

Syn onegoż wieku dobiegł prawie ojcowskiego, boć pożegnał nieutulonym po nim w żalu krewnych a znajomych i przyjacioły liczne w leciech dziewięćdziesięciudziewięciu aże.

Lat jeno stocztery po ziemskim padole na chwałę Panu Bogu a ludziom na pożytek chadzał arcybiskup gnieźnieński Jakób Skotnik, zanim zastępy duchów powiększyć było mu dane.

Katarzyna Odrowążówna, w panieństwie wytrwawszy do lat studwudziestu, w tenże czas żywota zacnego dokonała chwalebnie i przytomnie.

Zakonnica zasię Anna Topolówna na łożu śmiertelnem lat stotrzydzieści pomienionych miała, z których 78 w murach spędziła klasztoru.

Napis na grobie niejakiego Feliksa Dziaka ze Śreńska wedle Płocka świadczył o tym, że nieboszczyk wiecznością otoczon został po latach stuczterdziestu ziemskiej wędrówki.

Tyleż wojował na płaczu padole waszeć Wiśniowski, o którym wspominają pamiętniki, że lat dochodząc stuczterdziestu per pedes apostolorum do kościoła się kwapił.

Krewniak jego z Jabłonny-Lubelskiej, dobrodziej imci Ossowski lat mając już stopiętnaście, jeszcze zębami własnymi ogryzał skorupy orzechów a konno uganiał".

Nam w tym miejscu musi nasunąć się refleksja o zgoła niepopłatnym zawodzie dentystów w tych czasach.

Inne zapiski mówią o pewnym wieśniaku z Wołynia, który do stusiedemdziesiątego roku dochodząc w żywocie swoim jeszcze na drzewa gwoli figlów wyłaził wcale wartko.

Tenże sam autor podaje atoli w wątpliwość dane o długości życia niejakiej Tarnowskiej z Torunia, która pono żyć miała stopięćdziesiąt sześć wiosen, zanim ziemia lekką się jej stała.

Podobnie wątpi Rączyński o prawdziwości zapisków odnoszących się do Dymitra Grabowskiego, mającego podobno legnąć na śmiertelnej pościeli w wieku lat stusześćdziesięciuośmiu.

Z przykładów nowszych niepodobna nie wyliczyć w szeregu długożywotnych pana Fryderyka Jabłonowskiego, zmarłego w roku 1823. Konając, liczył lat stoczterdzieści, a żonaty był trzykrotnie. Ostatnia połowica liczyła sobie w chwili owdowienia lat osiemdziesiąt.

Rok 1855 ma swą sensację długowieczności w osobie pani Teresy Haizdew, zmarłej w Popielach, majętności Karnickich, w wieku 131 lat.

W Krakowie pomiędzy rokiem 1829 a 1847 było osób dwadzieściadwie, których wiek osiągnął od stu do stupiętnastu lat.

We Lwowie zmarł dnia 3-go grudnia 1858 roku ormiański arcybiskup Stefanowicz, licząc lat 106 i 8 miesięcy.

Z uczonych polskich przyrodnik Antoni Waga i historyk Maciejowski zmarli w 100-nym roku życia. Całe życie cieszyli się jaknajlepszym zdrowiem.

Prawdopodobieństwo osiągania 150 lat życia istnieje. Wymienić tu należy dla dowodu wątpiącym okaz długowieczności naszych najnowszych czasów, zmarłego w roku 1934-tym Turka, Zaro-Agę. Mahometanin ten żył ponad 160 lat, a sekcja jego zwłok wykazała obecność w organizmie 3-ch nerek.

Bardzo więc możliwe, że i dawni długowieczni ludzie obdarzeni byli jakimś dodatkowym nadliczbowym organem wewnętrznym, umożliwiającym im w sposób bliżej dotychczas niezbadany osiąganie tak długich lat życia.

Ale i poniżej setki, to piękny szmat życia dla człowieka, żywo przeczący — „przeciętnym danym statystycznym".

Długi byłby szereg ludzi dochodzących progu lat 100 i przekraczających go, gdyby szukać po świecie i teraz i wierzyć dawnym zapiskom.

Fankra

NOWOŚCI

Na lewo:
Utalentowana śpiewaczka Hanka Dylążanka znana szerokiej publiczności krakowskiej z licznych występów.

Obok:
Młoda śpiewaczka Olga Jüttner, której miły i dźwięczny głos mieliśmy okazję usłyszeć w operetce pt. „Kuzynek z księżyca".

Fot. prywatne

TOURNÉE KRAKOWSKICH ARTYSTÓW

Do ewenementów kulturalnych ostatnich dni należy niewątpliwie tournee krakowskich artystów-śpiewaków z H. Dylążanką, O. Jüttner i W. Dzieduszyckim na czele, pod kierownictwem znanego kapelmistrza Adama Lenczowskiego, który objął także akompaniament.

Po dużych sukcesach w Tarnowie, zespół udaje się do dalszych miast Gen. Gubernatorstwa.

Obszerny i interesujący program zespołu, obejmuje arie operetkowe, pieśni, piosenki oraz najnowsze przeboje muzyczne cenionego kompozytora A. Lenczowskiego.

TORNADO

Powieść pod tym tytułem, napisana przez Aleksandra Grudę (Wydawnictwo Polskie, Warszawa), jest fascynującym opowiadaniem z życia tropikalnej Ameryki. Pełne przygód przeżycia pewnego uczonego i jego córki wśród mieszaniny ludności złożonej z kowbojów, Indian i Chińczyków, w tajemniczych borach, stepach i na dzikich rzekach tych obszarów należą do tego gatunku literatury, która zawsze znajdzie wdzięcznych słuchaczy.

ŚMIERTELNY WRÓG CHRZEŚCIJAŃSTWA

Pod tym tytułem ukazała się niedawno broszura Zbigniewa Kowalewskiego w wydawnictwie Glob, omawiająca kwestię żydowską. Na podstawie licznych cytatów i danych historycznych udowadnia ona, że Żydzi od samego początku byli przeciwnikami chrześcijaństwa. Wyjątki z biblii, pism i mów starozrzymskich jak również późniejszych pisarzy i polityków, wypowiedzi wielu papieży i wykaz synodów, na których powzięto uchwały przeciwko niebezpieczeństwu żydowskiemu, uzupełnione zostały wyjątkami z Talmudu i innej literatury żydowskiej, w których żydostwo samo zdradza swoją wrogość wobec chrześcijaństwa i zamiar zniszczenia go. W końcu broszura wykazuje jak żydostwo pod postacią bolszewizmu chce zniszczyć kulturę europejską i świat chrześcijański. Liczne rysunki ilustrują tekst.

PRZEDSTAWIAMY ...

Któż nie zna „Zielonego kapelusika"? Dzieci nucą go w czasie zabaw, panienki i młodzieńcy, panie i kucharki zachwycają się nim, artyści śpiewają w teatrach, gra orkiestra na ulicach. Bez przesady powiedzieć można, że „Zielony kapelusik" Jana Markowskiego „trafił pod strzechy", że podbił swą melodyjnością serca starych i młodych.

Popularnego kompozytora udaje się nam „złapać" w czasie jednej z prób w teatrze „Miniatury". Z miejsca ujmuje nas swoim uśmiechem, humorem i szczerością. Rozmawia się z nim jak ze starym znajomym. Ani cienia zarozumiałości i sztuczności. Taka sobie pogawędka w tonie koleżeńskim.

Karierę kompozytorską rozpoczął Markowski jeszcze przed wojną. Już wtedy rozgłos przyniosło mu tango „Zawsze czegoś będzie Ci brak"..., które wycisnęło niejedną łzę zakochanym. W czasie wojny przez trzy lata akompaniował jednemu z naszych najlepszych piosenkarzy M. Foggowi, jeżdżąc z nim z koncertami po wszystkich większych miastach Gub. Generał. (ponad 1000 koncertów). W międzyczasie napisał blisko 80 nowych melodyj (m. innymi „Bluzeczkę zamszową", „Limpopo", „Jesień", „Krokodylek" i inne). Ostatnio ukazały się nakł. Wyd. Polskiego b. melodyjne „Tulipany" Markowskiego (sł. Z. Gozdawy).

Od czterech programów Markowski piastuje stanowisko „nadwornego" kompozytora i akompaniatora w teatrze „Miniatur", gdzie zbiera codziennie oklaski za piękne melodie i kulturalny akompaniament.

*

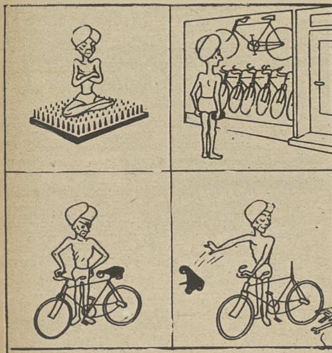
Utalentowany kompozytor licznych przebojów Jan Markowski.

Fot. Hartwig



— *Że też człowiek nie może spokojnie filmu wywołać!*

Rys: Kleppe



HISTORIA BEZ SŁÓW

Das Illustrierte Blatt

— *Złaź mi tu zaraz, bo jeśli nie posłuchasz, to wydrapię się sama i ciebie ściągnę.*

Kölnische Illustrierte Zeitung

NIE POPRZESTAJ NA WYGLĄDZIE!

Był na farmie kogut młody
Posłannictwem swym przejęty,
Dumny ze swojej urody: —
Chodził, tak jak paw nadęty.
Kury tylko wciąż szeptały:
Cóż to za typ jest wspaniały!
Co za grzebień — co za nogi!
A ten korpus — Boże drogi!
A, te pióra czarne, lśniące,
A, te oczy tak płonące!
Z takim przeżyć — „jedną chwilę"
A potem... „e poi morire"!
Więc, go kołem otaczały —
I, do grzechu — namawiały.
Wreszcie — pierwszą przyhołubił:
Pióra wydarł — łeb poczubił.
Drugiej — wiele krwi upuścił —
Choć płakała — nie wypuścił.
I, z innemi, też tak zaczął —
Chciały tego — to niech płaczą.
Aż, się dziedzic w głowę drapał,
Skąd u niego taki zapał!
W końcu — ledwie stał na nogach.
I wyglądał — jak minoga —
A, choć taki był Hercules,
Nec Hercules — contra plures!
Wreszcie kury nieść przestały
I na jajach posiadały.
Tak siedziały, miesiąc cały —
Aż się jaja — zaś...niedziały.
Bo, choć kogut był zuchwały —
I, wspaniałej był budowy,
Nie był jeszcze tak wspaniały —
Aby był stuprocentowy!

W tym się morał taki mieści —
I niech każdy go posiądzie: —
Zbadaj wszystko — aż do „treści" —
Nie poprzestaj na wyglądzie!

E. LOTAR

Przy wynajmie pokoju:

— A jakież są warunki najmu tego mieszkania?

— Ostatni lokator wynajmował go za czynszem miesięcznym 100 złotych, ale ponieważ nie płacił nic przez kwartał, musiał się wyprowadzić.

— Dobrze... zatem biorę to mieszkanie na tych samych warunkach.

•

Żona: — Czy wrzuciłeś mój list do skrzynki, którym ci dada, gdyś wychodził do biura?

Mąż: — Nie, bo...

Żona irytując się: — Naturalnie! zapomniał!! To jest zawsze tak! Na was mężczyzn nie można nigdy liczyć. Same tylko głupstwa macie w głowie, a o najważniejszych rzeczach zapominacie.

Mąż: — Ależ kochana, nie mogłem go wrzucić, bo...

Żona: — Tylko się nie tłumacz! Schowaj sobie swoje wymówki do kieszeni... widzicie go! nie mógł, dlaczego?

Mąż: — ...boś zapomniała napisać adres na kopercie, a nie wiem do kogoś pisała.

•

— Marysiu, co to za żołnierz w kuchni? Twój narzeczony inaczej wyglądał.

— Tak, proszę pani, ale jego zwolnili do domu na święta, więc posłał zastępcę.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Bój się Boga, już czwarty raz się żenisz, a przy tym twierdzisz, że stroną winną są kobiety; takie rzeczy możesz komu innemu, nie mnie opowiadać!

— Właśnie tak robiłem.

— Komu to wmawiałeś?

— Tym trzem kobietom.

•

Ona: — W gazecie piszą, że jakiś mężczyzna w Chicago został oskarżony, ponieważ zaręczył się, ni mniej — ni więcej tylko z sześcioma dziewczętami naraz.

On: — To amor amerykański musi być chyba całkiem nowoczesnym, gdyż używa widocznie karabinu maszynowego zamiast strzały.

•

Urzędnik do naiwnej dziewczynki otwierającej drzwi:

— Ile osób jest w tym mieszkaniu?

— Nie ma nikogo, wszyscy wyszli.

— Nie rozumiesz mnie; ile osób spało tu ostatniej nocy?

— Nikt nie spał. Mój braciszek płakał, bo go ząbek bolał i nikomu nie dał spać.

•

— Jesteś pan łajdak!

— Ja? dlaczego?

— Widziałem pana wczoraj, jak z moją żoną autem przejeżdżaliście!

— Ależ to wierutne kłamstwo.

— Co? Kłamstwo? Przecież patrzyłem własnymi oczami na was.

— No, tak, ale to było przedwczoraj, nie wczoraj.

•

— Tatusiu, jak to można się utopić i mimo to żyć?

— Co się tak głupio pytasz? Wiesz przecież, że topielec nie żyje.

— Ale sam tatuś nieraz mówił, że się utopił pojmując mamę za żonę.

•

— Co widzę? Z zabandażowaną ręką? Skaleczyłeś się?

— Tak. Znalazłem podkowę i przybijając ją na szczęście na progu mieszkania wyrżnąłem się młotkiem w palce.

•

Na szpitalnym łóżku leży chudy akademik, któremu lekarz każe na piersi przyłożyć plaster gorczycy.

Akademik kręci głową i wzdycha: — Dużo, stanowczo za dużo musztardy na taką odrobinę mięsa.

•

— Jesteś kompletnym idiotą! — woła rozgniewana żona.

— Kompletnym nie — odpowiada mąż. — Nikt nie jest doskonałością.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



KINOMANI

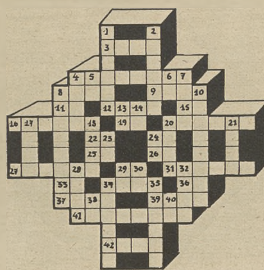
— *To okropne! Wyobraź sobie; wczoraj siedzę z kochanką w kinie, a po chwili tuż przy mnie siada moja żona...*

— *Hm, ja miałem znacznie gorszą sprawę; w sobotę zauważyła mnie kochanka, jak szedłem do kina z moją żoną...*

Rys: Józef Paluch — Kraków

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA
uł.: J. W., Przemyśl



Znaczenie wyrazów: Poziomo: 3. imię żeńskie zdrobniałe; 4. krakowska sukmana; 8. mityczny król W. Brytanii; 9. podział na regularne części w muzyce; 11. pożegnanie dziecinne (wsp.); 12. banda, zgraja; 15. przyimek; 16. dzielnica Berlina; 19. przyimek; 20. biuro handlowe; 22. jednostka miary oporu prądu elektrycznego; 24. wykrzyknik; 25. bóg egipski; 26. miara powierzchni; 27. cennik towarów urzędowo ustanowiony; 29. spójnik (w jęz. martwym); 31. załącznik, dokument; 33. skrót w rachunkach; 34. sterta, ognisko; 36. litera fonet.; 37. bohater szwajcarski XIV w.; 39. napój; 41. rozpoznanie choroby; 42. urodzajna miejscowość wśród pustyni.

Pionowo: 1. mówca ostatnich godzin wolności rep. Rzymu; 2. skrzynia na czcionki; 4. czapka żołnierska; 5. dwie samogłoski; 6. zaimek; 7. miasto w Palestynie, znane z III-ciej krucjaty; 8. miejsce bez wyjścia; 10. uroczysta szata biskupia; 13. napis na receptach; 14. przyimek; 17. uciążliwa praca na roli; 18. pięcioksiąg Mojżesza; 20. wierzchnia powłoka drzew; 21. rzeka w Niemczech; 23. stwierdzenie posiadania; 24. przyimek; 28. imię męskie; 29 = 29 poziomo; 30. zaimek; 32. poszczególna wygrana w grze w karty; 34. rodzaj popisu łyżwiarskiego; 35. rzeźbiarz starogrecki; 38. rodzajnik w jęz. obcym (wsp.); 40. przyimek (wsp.).

KŁOPOT MLECZARKI
ul. Z. Gidziński z Białobóżnicy

Mleczarka wyniosła na sprzedaż 8 l. mleka w trzech dzbankach. Z dwóch dzbanków B i C mleko już wysprzedała. Dzbanek A był jeszcze z mlekiem.

Dzbanek A mieścił 4 l., dzbanek B $2^1/_2$ l., a dzbanek C $1^1/_2$ l.

Mleczarka miała sprzedać jednej pani 2 l mleka. W jaki sposób odmierzyła ona te 2 l. mleka przy pomocy trzech dzbanków?

HOP! SIUP!

Fot: Hilde Zeniker-Dillan











Nie zawsze można być poważnym i pełnym godności. Obok rzeczy wielkich muszą znajdować się i małe, obok uroczystego nastroju — beztroska i wesołość, obok wielkiej sztuki — karykatura i groteska. Już starożytni Grecy wiedzieli o tym doskonale i dlatego też wystawiali w swym teatrze obok tragicznych trylogii, bardzo wesołe i rubaszne satyry.

I dzisiejsi ludzie lubią również, jeżeli na scenie serię poważnych przedstawień przerwie jakieś komiczne intermezzo, mające na celu jedynie wywołać szczery, beztroski śmiech. A groteska zawsze pobudza nas do śmiechu, gdyż w gruncie rzeczy nie jest ona niczym innym, jak przeciwstawieniem faktów pozorom, jaskrawym kontrastem między fantazją a rzeczywistością.

Jeżeli „Jaś" i „Małgosia" zjawią się na scenie w codziennych wieśniaczych strojach i nagle w pełnych komizmu, przesadnych ruchach zaczną wykonywać tańce salonowe, tańczone zazwyczaj przez wytwornych, eleganckich tancerzy na parkietach, niewątpliwie zgotują oni publiczności bardzo wesołą godzinkę śmiechu.

